



**Beata Ostrowicka**

**Jest taka historia**  
opowieść o Januszu Korczaku

ilustracje

Jola Richter-Magnuszewska







Jest taka historia, którą słyszałem już wiele razy. Lubię ją. Przy jednych fragmentach się śmieję, przy innych czuję, jak mnie coś ściska w brzuchu i w gardle. To historia, którą opowiada mi moja babcia. I pewnie opowie mi ją jeszcze nieraz. Pytam czasami o te same rzeczy, bo nie wszystko rozumiem, i babcia mi cierpliwie tłumaczy. I czasami mnie zaskakuje nowymi fragmentami.

Dzisiaj znowu jej słucham. Bo jestem chory. Leżę w łóżku, obok mnie paczki chusteczek, syropy, tabletki od bólu gardła, krople do ucha i jakieś inne lekarstwa, które przepisała mi pani doktor.

Ale najpierw się przedstawię. Jestem Jasiiek, chodzę do trzeciej c. Mam mamę, tatę, młodszego brata Julka, który ma dopiero cztery miesiące, oraz starszą





i kłótniwą siostrę Zużę, która robi więcej zamieszania od Julka. Aha, jest jeszcze kotka Pufka i pies Maks. Od paru lat mieszka z nami także babcia Frania. Babcia Frania jest tak naprawdę moją prababcią. Babcią-prababcią, ale mówię do niej „babciu”. Wszyscy w klasie mi jej zazdroszczą. Jedna moja babcia mieszka pod Londynem, druga już nie żyje. Ta babcia pod Londynem to mama mojej mamy. Ma na imię Róża.

Czasami nas dużo, za dużo. Czasami za głośno. Ale nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej. Żeby nie miał mamy albo taty, babci, Julka albo tej kłótniwej Zuży...

A moja babcia, gdy była jeszcze małą Franią – to było na długo przed drugą wojną światową, gdy nie miała siwych włosów, tylko dwa czarne warkocze, gdy potrafiła robić szpagat, wyginać się, jakby miała kości z gumy, i chodzić po drzewach – była sama jak palec.


Babcia tak o sobie mówi: „Byłam samiutka jak palec. Rodzice mnie wcześniej odumarli”. Brzmi dziwnie, ale chodzi o to, że nie miała domu ani nikogo bliskiego.

I gdy miała pięć albo sześć lat, trafiła do sierocińca. I tam tej mojej Frani było bardzo źle. Krzyczeli na nią o byle głupstwo, miała brzydkie, brudne sukienki, cały czas była głodna i z tego głodu śniły jej się chleb, kiełbasa i ciastka. Często płakała. I wtedy przytulała się do swojej szmatki, która kiedyś była biała w czerwone i niebieskie różyczki, a teraz była szara i żadnych kwiatków już na niej nie było widać. Ale Frania tę szmatkę kochała, bo była z kawałka bluzki jej mamy.

Inne dzieci też płakały.







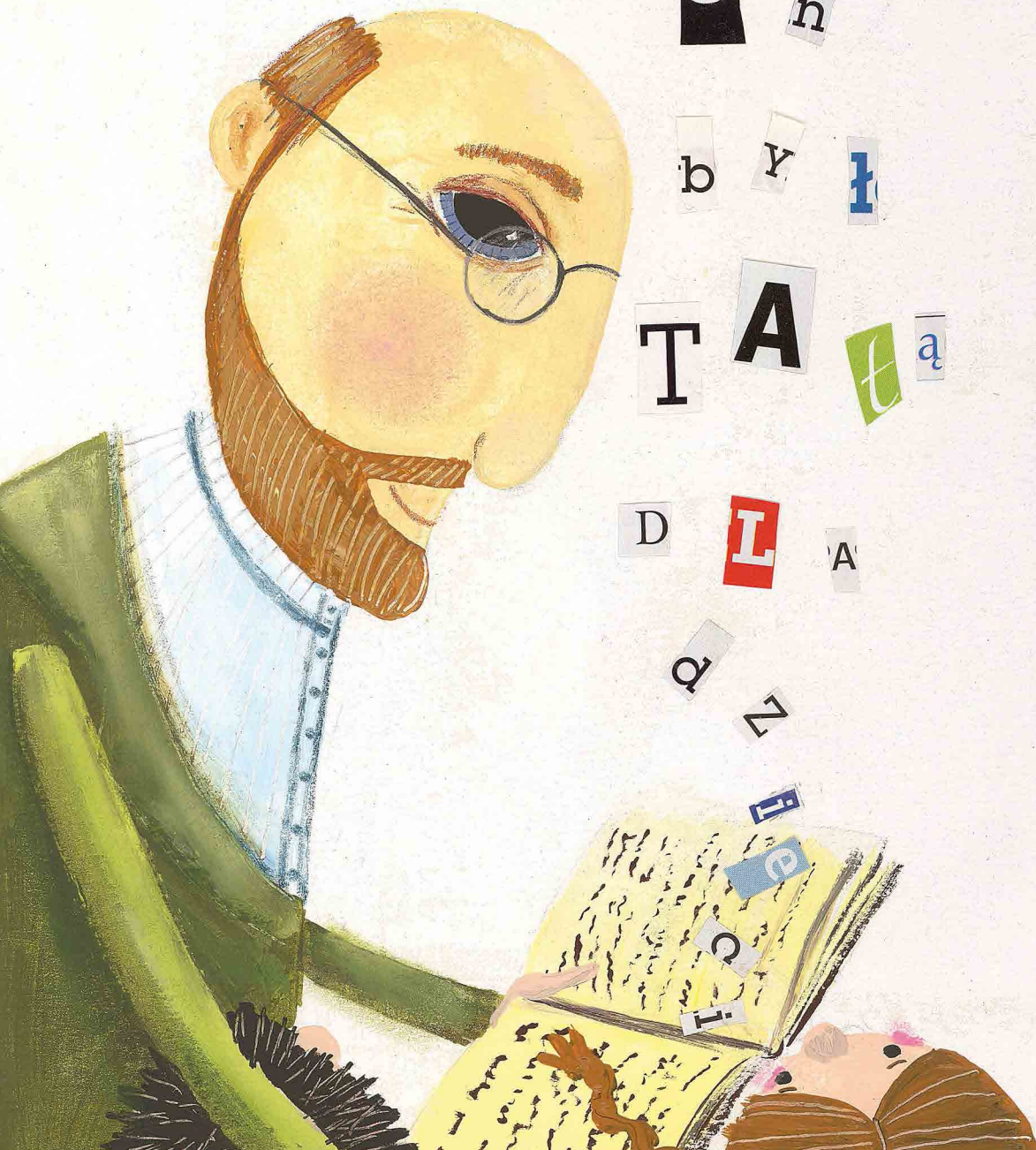
Któregoś dnia do tego sierocińca przyszła pani w pięknej ciemnej sukni ozdobionej koronkowym kołnierzykiem. I ta pani nie krzyczała, tylko miłym głosem wyjaśniła dzieciom, że teraz będą mieszkać gdzie indziej. Też w Warszawie, na ulicy Krochmalnej 92. I zaprowadziła tam Franię i innych, nawet tego wielkiego Arona, który lubił bić chłopców i dokuczać dziewczynkom. Ja to bym Arona zostawił. No, ale go ze sobą wzięli.

Na ulicy Krochmalnej 92 był wielki, biały budynek z tablicą „Dom Sierot”. I tam Frania po raz pierwszy zobaczyła Panadoktora. Stał przed głównym wejściem i czekał na dzieci, żeby się z nimi przywitać. Babcia, gdy to opowiada, a lubi tę część, mówi: „Pandoktor się do nas uśmiechał. Jak tylko go zobaczyłam, to wiedziałam, że Pandoktor to dobry człowiek”. I mówi „Pandoktor” tak, jakby to był jeden wyraz.

A ja ją poprawiam:  
– Babciu. Pan doktor, dwa wyrazy.  
A ona kręci głową, że nie. Bo jako dziecko tak się do niego zwracała, bo tak mówili wszyscy, jednym tchem: „Pandoktor”.  
I tak już zostanie.



Więc ten Pandoktor, taki szczupły, z bródką, w okularach, to się okazało, że to nie tylko pan doktor, czyli lekarz, ale też i dyrektor tego sierocińca. Najważniejszy. A inna najważniejsza osoba,



to była  
pani Stefa Wilczyńska.  
On był tatą  
dla dzieci, ona mamą.





Aron to już w pierwszy dzień zniszczył swoją szafkę przy łóżku. A gdy go pytali, kto to zrobił, to mówił, że nie wie. A ktoś inny stłukł swój talerz i też oczywiście nie wiedział, kto to zrobił.

– No, ciężko mieli z nami. Nie ze wszystkimi, ale z niektórymi. Z łobuzami – mówi babcia i podaje mi kubek z herbatą i sokiem malinowym. – Pamiętam, jak któryś z małych chłopaków kranu nie zakręcił w łazience i cała podłoga była zalana.

– U nas w szkole jest taki Filipek z drugiej b. Mówimy na niego Szalony Filipek. On w tym roku już dwa razy zalał łazienkę.

– A inny wlał kapuśniak do umywalki – wspomina babcia. – A Basia się rozpląkała, gdy zobaczyła swoje nowe łóżko.

– Brzydkie było? – nie rozumiem.

– Piękne, czyste. Ale bała się spać w nim sama. W starym sierocińcu spaliśmy po kilka w jednym. I nie było pościeli. A jedna dziewczynka sikała nam do łóżka. Nie specjalnie, tylko jakaś taka wystraszona była...

Trudno mi to sobie wszystko wyobrazić. Nie, nie wszystko. Zalanie łazienki to normalne. Ale to wspólne łóżko? Jeżdżę na obozy rowerowe i wiem, że dziewczyny czasami włożą do jednego łóżka. Na plotki. Na wygłupy. Na chwilę. Ale skoro babcia tak mówi, to tak musiało być.

Dom na Krochmalnej pachniał jeszcze farbą, skrzypiały w nim podłogi. Pościel i ręczniki były bielutkie. Frania nigdy nie widziała tylu pięknych rzeczy. Wszystko jej się tu podobało, wszystko smakowało.

Była wielka sala, w której dzieci odrabiały lekcje albo się uczyły, klasy, łazienki, magazyny, kuchnia, szwalnia, stolarnia, dwie sypialnie – dla dziewczynek i dla chłopców. Obok tej dla dziewczynek był pokój



pani Stefy, można było zawsze do niej pójść, gdy się coś złego przyśniło albo rozboleł brzuch. Pandoktor mieszkał w malutkim pokoiku na poddaszu. To się nazywa facjatka. Przylatywały tam wróble, on je karmił i bardzo się polubili. A Pandoktor, zanim późnym wieczorem szedł do siebie, wędrował po sypialniach. Przykrywał dzieci, uspokajał te, którym coś złego się przyśniło, albo budził te, o których wiedział, że jeśli nie pójdą do toalety, obudzą się w mokrej pościeli.